

Jacek Komuda

Veto

Veto. Nie pozwalam. Odstąpcie od grobu!

Zamarli. Choć zapadał zmrok, Krzysztof wyraźnie widział ich twarze – ponure, ze zwieszającymi się w dół postrzępionymi wąsami. Wyglądali jak martwi – wychudzeni, kościści, z widmem głodu odcisniętym na policzkach. Jak kościotrupy z kościelnych malowideł. Jedyne płonące oczy wyróżniały się z trupich twarzy. Powoli, jak we śnie, obrócili się ku Krzysztofowi. Najpierw dostrzegli jego wysmukłą postać, wyrosłą nagle w cieniu kolczastych krzewów przy ścianie cmentarza, a potem zatrzymali wzrok na króćcach w dłoniach mężczyzny. Jeden z nich odsunął w tył stary, wyliniały, świecący dziurami kołpak.

– Czego chcesz, skurwysynu?

– Ażebyście odstąpili od grobu – powiedział spokojnym głosem. – Dymajcie stąd!

– Sam dymaj! – warknął jeden z tamtych. – O co ci idzie? Nie robimy niczego złego!

– A to? – Krzysztof wskazał ruchem głowy leżące obok grobu oskardy. – Co to ma znaczyć?

Nic nie mówili, nie ruszali się, ale Krzysztof wiedział, że każdy z nich zastanawiał się nad tym, czy zdążyłby dopaść go, zanim wypalą króćce. Nie mieliby szans, ale głód zawsze przyćmiewał zdrowy rozsądek.

– Damy ci trochę – mruknął któryś z tamtych i wskazał grób.

– Wynoście się!

– Połowę.

– Nie chcę – powiedział cicho. – Liczę do pięciu.

– Przecież tu leży Moskwicin. Nie nasz.

– No to co?

– Nie chce ci się zreć? Tego, co dostaniesz, wystarczy na tydzień.

– Jeden!

Poruszyli się. Ale nie skoczyli na niego, tak jak się obawiał.

– Ja go znam – mruknął jeden z tamtych. – To Krzysztof Wilamowski... Rawianin.

Imć pan namiestnik chorągwi kozackiej Samuela Dunikowskiego.

– I co z tego?

– Dwa!

– To, że nas wystrzela jak kaczki. Nawet nie mrugnie okiem. To szaleniectwo.

Gadanina jezuitów wyżarła mu głowę. Niby żołnierz, a nie da jeść swoim towarzyszom.

– Trzy! – Krzysztof starał się, żeby jego głos był twardy i bezlitosny. Niezbyt mu się to udawało.

– Idziemy na niego? – wycharczał trzeci z tamtych, najbardziej dziki, odziany w brudny, porwany żupan. Krzaki za plecami namiestnika zaszeleściły i wypadł z nich Kacper z rusznicą.

– Mówiłem, żebyście się stąd zabierali!

– Dobrze – mruknął któryś. – Ale jeszcze się spotkamy. Mości Wilamowski, waszmość chyba nie chcesz długo żyć?

– Wy sapieżyńcy? Nie zginę z ręki boćwiny.

– No, no, obaczmy, mazurski ryju. Dlaczego chcesz nas powstrzymać?

– Czy wy wierzycie w Boga? Jezu Chryste, są rzeczy, których nie wolno czynić.

Nigdy, w żadnym wypadku.

– Przecież nikt nie każe ci tego żreć. Jak chcesz, możesz zdychać z głodu. Dlaczego nie dajesz nam jeść?

– Bo jestem szlachcicem. To do czegoś zobowiązuje.

– Za dwa tygodnie będziesz oddawał sygnet herbowy za koński ochłap albo gotowanego szczura – mruknął tamten. – Ale nikt tego od ciebie nie kupi.

– Milcz! Nie po to poszliśmy na wojnę, żeby jeść trupy. Cztery!

Zmierzyli się z Krzysztofem uważnymi spojrzeniami. Trwali tak przez chwilę, a potem sapieżyniec zaklął, odwrócił się i ruszył ku bramie cmentarza. Jego dwaj towarzysze – wysoki, w misiurce, z czekanem w dłoni, i niski, chudy, z rapierem przewieszonym przez ramię, podążyli za nim. Wilamowski patrzył w ich stronę, dopóki nie zniknęli w półmroku. Dopiero teraz poczuł, jak przenika go zimny dreszcz. Bał się. Musiał to przyznać przed samym sobą. Czy rzeczywiście mam rację? – pomyślał. Czy powinienem to robić? I tak wszyscy jesteśmy już potępieni... Ale może... Miał nadzieję, że tym, co uczynił przed chwilą, dołożył jeszcze jedną cegiełkę do odkupienia. Odkupienia tego, co tkwiło w nim jak cień gdzieś głęboko w duszy.

– A niech to jasny szlag! – wykrzyknął z furją i uderzył pięścią w rozmięktą od deszczu ziemię grobu. Nie miał już siły. Wszystko na tej wojnie wyglądało inaczej, niż to sobie wyobrażał. Wszystko było inne.

Powoli wstał. Odwrócił się od kopca.

– Idź do kwatery – powiedział do Kacpra. – W kufrze w mojej izbie znajdziesz parę sucharów.

Pocztowy skinął głową. Krzysztof odczekał, aż zniknie w mroku, a potem ruszył w stronę bramy. Czuł się źle.

Znowu wróciły zawroty głowy. Wiedział, co oznaczały. Nie miał nic w ustach od pięciu dni. Po prostu był głodny.

Ulice Kitajgorodu – ostatniej oprócz Kremla dzielnicy Moskwy, która pozostawała jeszcze w polskich rękach, były zupełnie puste. Zresztą – kto miał po nich chodzić? Ludność kryła się w domach, a polska załoga Kremla od dawna cierpiała głód. To nie zachęcało do spacerów. Na ulicach panowała cisza. Tylko gdzieś daleko na gigantycznych murach cicho nawoływały się straże. Smutne głosy trąbek brzmiały żałośnie pod mroczniejącym jesiennym niebem.

Moskwa zawsze zdumiewała Krzysztofa. Oczywiście wtedy, gdy nie był głodny. Zdumiewała wyglądem, a przerażała ogromem. Nawet teraz, choć na ulicach było ciemno, podziwiać mógł wielkie drewniane domostwa Kitajgorodu otoczone solidnymi drewnianymi płotami, kamienne bojarskie dwory, odgródzone od ulicy palisadami z pociemniałych pni, i cerkwie – wielkie, strzelające w niebo tysiącami wież i kopuł, zwieńczonych lasem pokrzywionych, prawosławnych krzyży. Moskwa była polska. Była twierdzą i zarazem pułapką, bo za murami Kitajgorodu i Kremla stały nieprzeliczone w swym ogromie wojska Minina i kniazia Dymitra Pożarskiego, jak wilki czekające na

chwile, gdy będą mogły zatopić kły w ciele Lachów. Polaków, którzy dotąd bezkarnie gromili ich na głowę.

Krzyk, jaki doszedł nagle z bocznej uliczki, sprawił, że Wilamowski drgnął nerwowo i chwycił za szablę. Okrzyki powtórzyły się, teraz już znacznie słabsze, a potem ucichły. Krzysztof namyślał się przez chwilę – a potem wyrwał szablę z pochwy i skoczył w wąski zaułek. Na tyle, na ile miał siłę, zaczął biec. W przejściu pomiędzy dwiema drewnianymi ścianami domostw było tak ciemno, że nie widział krańca uliczki.

Dostrzegł ich wcześniej niż oni jego. Dwaj ludzie w żupanach, jakie zwykle nosili węgierscy hajducy, przyciskali do ziemi szamoczącą się postać. Po długich jasnych włosach rozpoznał w niej kobietę. Leżąca obok pochodnia dawała nieco światła.

Hajducy byli tak zajęci gwałtem, że poderwali się dopiero wtedy, gdy Krzysztof był o kilka kroków. Dziwne, że jeszcze mieli siły na to wszystko. Ten pierwszy zerwał się jak błyskawica i skoczył z szablą na Wilamowskiego, a drugi odciągnął w tył szarpiącą się kobietę. Krzysztof przyciął pierwszy. Odbił cios od lewej i sam zaatakował. Hajduk uchylił się, uderzył płasko, nisko, prawie z przysiadu, a Wilamowski zasłonił się trzymanym pionowo ostrzem. A potem jak piorun przyciął z góry. Jego cios spadł na głowę tamtego. Hajduk wrzasnął krótko i padł na ziemię.

Krzysztof odwrócił się w stronę drugiego z napastników. Ten puścił ręce niewiasty, a potem odskoczył i zniknął w mroku. Szlachcic usłyszał oddalający się tupot stóp. Wsłuchiwał się w niego przez chwilę, a potem podszedł do leżącej. Patrzyła na niego. Widział tylko bladą plamę w miejscu jej twarzy i roztrzepane fale jasnych włosów. Były piękne – długie, jedwabiste. Gdy chwycił ją za rękę i pomógł stanąć na nogi, rozsypały się po zniszczonej czarnej świcie. Sięgały aż poniżej pośladków dziewczyny.

– Możesz iść?

Skinęła głową, więc niemal siłą pociągnął ją w dół uliczki. Szli szybko, chociaż szlachcic zupełnie opadł z sił, dyszał ciężko, a po chwili zawroty głowy omal nie powaliły go w błoto. Aby utrzymać się na nogach, objął jej kibić i wtedy przekonał się, że była równie wychudzona jak on sam. Gdy tylko poczuła dotknięcie, zatrzymała się.

– Dlaczego mnie uratowałeś? – spytała po polsku, ale z ruskim, śpiewnym akcentem.

– Nie wiem... Żałujesz tego? Chciałaś, żeby cię wzięli siłą?

– Może daliby mi jadło... Zresztą ty też chcesz tego samego. Zaraz wciągniesz mnie w jakiś ciemny zaułek i zadrzesz żupan. Lepiej zrób to teraz. Nawet tutaj...

– Skąd wiesz, że chcę cię wziąć? – zapytał, wstrząśnięty jej słowami.

– Ach, prawda – mruknęła i zlustrowała jego postać uważnym spojrzeniem – jesteś szlachcicem. W takim razie zanim to zrobisz, rzucisz mnie na łożo i rozbierzesz...

– Dlaczego tak myślisz? Jesteś moskiewską ladacnicą?

– Nie. Nigdy nie byłam. Ale właśnie to robił ze mną każdy Lach, którego spotykałam i prosiłam o coś do jedzenia. Wszyscy jesteście tacy sami... Ty też.

Ujął ją za ramię i ruszył w dół ulicy. Nie stawiała oporu. Milczała, uporczywie wpatrując się w jego twarz. Ukryła włosy pod świtką.

– Nie myślałeś, że tak ci odpowiem? Jestem harda, co? Zasluguję na baty.

Powinniście poznać prawdę, Lachowie, skoro przyszliście tutaj, żeby nas grabić i mordować. Nie mam już sił na to wszystko. Jeżeli chcesz, to mnie zabij.

Ale nie zapomnij wcześniej przymusić mnie do czego innego. Wy wszyscy jesteście tacy sami.

– Widocznie do tej pory poznałaś tylko złych Polaków. I może się mylisz. Może nie

jesteśmy aż tacy straszni. Na pewno nie gorsi od waszych carów.

– Car – *eto* Syn Boży. Jemu wszystko wolno, bo on karaje i żałuje. U was każdy pan to car, bo mu wszystko wolno. U nas jest tylko jeden car. Pomyśl, gdzie lepiej. Byłam córką setnika strzeleckiego ze Słobody Strzeleckiej. Miałam dom, miałam pójść za męża. I co się stało? Przyszedł jeden Dymitr Samozwaniec, potem drugi, potem Żółkiewski, potem Chodkiewicz. Dwa bękarty już do rzeki spuściłam. Wszystko mi zabraliście. Wszystko...

– Każda wojna jest okrutna. Jak wasz Iwan Groźny brał Inflanty, ludzie w miastach wysadzali się w powietrze, żeby tylko nie wpaść mu w ręce... – Zatrzymał się. Na placu, gdzie stanęli, było nieco widniej. Krzysztof spojrzął na dziewczynę. Wydawała mu się ładna. Smukła, delikatna twarzyczka o wielkich, błękitnych, lekko skośnych oczach wyglądałaby jak oblicze anioła. Wyglądałaby – bowiem z jednej strony widniała długa, ciemna blizna o poszarpanych brzegach, szpecąca lewy policzek i przecinająca brew. Kontrast straszego znamienia z delikatną różową skórą i resztą twarzy był tak wielki, że Krzysztof aż zadrżał. Dziewczyna zauważyła to. Jednym szybkim ruchem usunęła głowę w cień.

– To wasz lisowczyk w Tuszynie – powiedziała. – Nie chciałam mu się oddać i uderzyłam go w twarz. Za to oszpecił mnie do końca życia...

– A co teraz robisz? – zapytał wstrząśnięty.

– Chcę jeść i żyć. Żyć za wszelką cenę. Może po to, aby doczekać waszego końca. Czasami ktoś jeszcze mnie chce. Ktoś, kto nie widzi mojej twarzy... Oddaję się za jadlo.

– Wiem... – wyszeptał. – Jak się nazywasz?

– Sonia. Dalej nie pytaj...

– Sonia, Sonia... – powtarzał to imię przez chwilę. – Chodź ze mną. Pójdziemy na kwaterę.

– Masz jadlo?

– Przyniosę jutro.

Mikołaj Struś, dowódca garnizonu moskiewskiego Kremla, był wysokim, postawnym mężczyzną o krzaczastych brwiach i posiwiałych, podgolonych wysoko włosach. Gdy Krzysztof wszedł do izby, pułkownik siedział za stołem. Spojrzął na młodego szlachcica. Jego wzrok jakby przewiercał na wylot Wilamowskiego, docierał do najgłębszych, najbardziej ukrytych myśli w jego głowie. Namiestnik skłonił się. Struś wstał, założył dłonie za pozłocisty pas. Spojrzął na Krzysztofa z góry – był wyższy.

– Witam waćpana – powiedział zmęczonym głosem.

– Dobrze, że przyszedłeś, jak kazałem. Siadaj, waść. – Wskazał krzesło. Pomimo przenikliwego wzroku Struś wyglądał na zmęczonego. Głód i nieprzespane noce odcisnęły się na jego twarzy niezatartym piętnem. Nie patrząc na Krzysztofa, zaczął chodzić po komnacie. Milczał. Wilamowski wyczuł, że komendant nie wie, od czego zacząć.

– Po co mnie waszmość pan wezwał? – zapytał pierwszy.

Struś jakby się spłoszył. Drgnął, a potem szybko przysiadł na krześle. Nie patrzył już Krzysztofowi w oczy, ale obracał w palcach leżącą na stole buławę.

– To, co waszmość usłyszysz, ma pozostać tylko między nami – powiedział mocnym głosem. – Widzisz waść... Nie chciałbym być źle pojęty... Jak myślisz, ile jeszcze możemy wytrzymać?

– Nie wiem, ile waćpan chcesz usłyszeć – burknął Krzysztof. Struś wyprostował się.

– Nie jesteśmy w zamtuzie, przy gorzałce i kurwach – wycedził. – Mości namiestniku, jeżeli ja pytam, to z łaski swojej odpowiedz mi dokładnie!
– Nie wytrzymamy nawet tygodnia.
– Będzie pomoc. Musi być! Na Boga, król jegomość miałby stracić stolicę tego kraju? Nie może to być!

– Ja w odsiecz nie wierzę. Nikt nie wierzy...

Struś wolno powstał. Ujął Krzysztofa za ramię i doprowadził ku oknu. Namiestnik stał z trudem. Przez chwilę miał zawroty głowy, zwłaszcza wtedy, kiedy szedł. Komendant otworzył okiennice. Wilamowski zmrużył oczy, gdy uderzył w niego żółty blask jesiennego dnia. Z tej części Granitowej Pałaty rozciągał się widok na całe Zamoskworiecze – teraz szare i wypalone po niedawnych walkach. Po pogorzeliśku kręcili się ludzie. Oddziały wychodziły na wojskowe ćwiczenia, a dalej, gdzie stał tabor, widniały całe tłumy moskiewskiego pospólstwa i wojowników. Po drugiej stronie rzeki Moskwy Krzysztof widział regularne linie wałów i ostrogi z wycelowanymi w mury Kremla armatami. Czasami nawet tutaj, do Granitowej Pałaty, dochodziło rżenie koni i ludzkie głosy. Panowała jesień. W żółtym, przydymionym świetle słońca po tamtej stronie rzeki łopotały chorągwie z wizerunkami świętych.

– Stoją – powiedział Struś. – Stoją i czekają. Sto tysięcy wojska. I pomyśleć – dwadzieścia tysięcy naszej jazdy i piechoty rozpedziłoby tę hałastrę na cztery wiatry. Czekają... Jeżeli się im poddamy, rozniosą nas na strzępy. Musimy wytrwać. Ja, szlachcic polski, nie będę prosił o łaskę tych brodaczy w zawszonych szubach! – wybuchnął. – Nie mogę! Nadejdzie odsiecz! Wybawi nas! Stracimy Moskwę, będziemy niczym! Nie mogę do tego dopuścić.

– Ludzie są zmożeni – powiedział Wilamowski obojętnym głosem. – Panowie towarzystwo zjedli już swoje konie. Wszystkim miesza się we łbach od głodu. Teraz będą jedli siebie nawzajem.

– To co mam robić? Poddać się? Czy myślisz, że oni – Struś wskazał buławą obóz moskiewski – dotrzymają warunków?!

– I tak pisana nam jest śmierć.

– Wolę zginąć tu, na Kremlu, jak ostatni obrońca Rzeczypospolitej niż jak ścierwo, rozszarpywane w męce przez te moskiewskie psy.

– To może weźmy szable w dłoń i wyjdźmy przed mury.

– Na piechotę? Jak hajducy? Nikt prawie nie ma koni. Może masz waćpan rację – mruknął Struś. – Chcę z waścią pomówić o czymś innym. Słyszałem, że masz kłopoty. Żołnierze, niektórzy żołnierze bardzo waści nie lubią. Chciałbym wiedzieć za co.

– Nie pozwalam wydobywać ciał z grobów i odcinać wisielców z szubienicy. Dziś jedzą trupy, a jutro jeden rozwali drugiemu głowę, aby nazreć się do syta.

Struś jakby wahał się. Wolno, z namysłem usiadł w fotelu.

– Wiem, że tak się dzieje – powiedział. – Wiem wszystko. To dobrze, że waszmość jeszcze zachowujesz się po szlachecku. Ale posłuchaj... Nie zawsze wszystko jest takie, na jakie wygląda. Kiedyś, pamiętam, sam siedziałem w takiej twierdzy w Inflantach. Służyłem wtedy jeszcze pod jegomością Chodkiewiczem. Staremu niedźwiedziowi nie śpieszyło się z odsieczą. Tam też było ciężko. Gorzej niż tutaj. Ale twierdzę utrzymaliśmy. Dzięki temu nasza armia mogła potem przepłynąć się przez Dźwinę.

– Po co waszmość mi to wszystko mówisz?

– Bo widzisz – Strusiowi nagle jakby zabrakło słów – to jest wojna. A na wojnie

czasami bywa tak, że cel osiąga się różnymi fortelami.

– Czy takim fortem ma być żarcie ludzkiego ścierwa?

– No nie. Źle mnie waćpan zrozumiałeś. To ciężki... to najstraszniejszy grzech, ale...

Jesteś młody, zdolny, gniewny, nie zgadzasz się na to. Nie powinienes tak...robić. Ty tylko przyczyniasz się do niepokoju. Rozgłaszasz to wszędzie. Po co? Zachowaj to dla siebie. Nikt cię nie zmusza, żebyś to jadł. Moi rotmistrze słyszą o tym i naciskają, żebym poddał Moskwę. A przecież musimy przetrwać.

– Nie wiem, czy dobrze waści słyszę?! – zakrzyknął Krzysztof. – Jak to, więc żeby utrzymać stolicę, mamy być jak... jak zwierzęta? Mamy zabijać się i zjadać jak szczury? Nigdy!

– Ależ nikt cię do tego nie zmusza, mości namiestniku. Wszyscy o tym wiedzą i milczą. Tylko ty jeden...

– Czy ty wiesz, mości komendancie, czego ode mnie żadasz? Mam się z tym pogodzić? Nigdy! Jesteśmy w piekle. Codziennie ktoś umiera. Ludzka ręka kosztuje już siedemdziesiąt złotych. Mniej niż wędzony szczur albo flaki z gołębia. Niedługo zaczniemy wyjadać siebie nawzajem! Już wyjadamy. Nie obchodzi mnie, że wszyscy to tolerują. Ja jestem szlachcicem – jestem człowiekiem i w imię tego – nie mogę. Ktoś musi się na to wszystko nie zgodzić i tym kimś jestem ja! Mam na to prawo, szlacheckie prawo *liberum veto*. *Veto!* Ja się nie zgadzam! Ja nie pozwalam na takie rzeczy! A Moskwy i tak nie utrzymamy!

– Milcz, głupcze! – zakrzyknął Struś, zrywając się z fotela. Chwycił buławę i uderzył nią o stół. – Czy myślisz, że nie mogę pozbawić cię dowództwa za wprowadzanie zamętu?! I tak któregoś dnia znajdą cię zarzezanego w ruinach. Całymi nocami myślę, jak utrzymać stolicę, i nie pozwolę, żeby jakiś szlachetka wprowadzał mi zamieszanie!

– *Veto*, panie komendancie! – powiedział Krzysztof lodowatym głosem. Jego ręka mimo woli spoczęła na rękojeści szabli. – Ja już wiem, o co ci chodzi. Ty chcesz sławy. Myślisz, że jak utrzymasz tę w dupę jebaną twierdzę do odsieczy, to okrzykną cię bohaterem. Myślisz, że dostaniesz polną buławę i będziesz znany jako zbawca Rzeczypospolitej, że będziesz miał starostwa i królewszczyzny. A pies jebał i Rzeczpospolitą! Nawet zasługi nie potrafiła wypłacić nam na czas! A ty dążysz do sławy i nie zastanawiasz się wcale, ile to warte. Nie zważasz na to, co się dzieje. Chcesz mnie uspokoić, chcesz, żebym siedział cicho, bo ty musisz zostać hetmanem i dla ciebie nie liczy się, ilu jeszcze zdechnie z głodu. Ty tchórze, ty skurwysynu!

– Wynoś się! – wrzasnął purpurowy z wściekłości Struś.

– Dymaj stąd, taki synu, bo będzie z tobą źle!

– Idę, ale nie przestanę walczyć! – zakrzyknął Krzysztof.

– Nigdy na to nie pozwolę. Jeszcze mam w sobie sumienie.

Odwrócił się i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami. Ledwie to zrobił, nagle się zatoczył. Głód... Już nie czuł ostrych, gwałtownych i bolesnych skurczów żołądka. Opanowały go teraz zawroty głowy i senność, i jakiś taki dziwny, rozdzierający ciało ból. Minęła chwila, zanim jako tako się pozbierał i wspierając się na obuszkach, ruszył w dół po schodach.

– Panie Krzysztofie?

Wilamowski wolno uniósł głowę. Przed nim stał jeden z towarzyszy – Niemiryecz. Wyglądał na dziwnie zdenerwowanego. Krzysztof spojrział nań nieprzyjaźnie. Nie miał ochoty na rozmowę.

– Co się stało?

– Imć pan Mirosz zniknął.

– Jak to? – Krzysztof zamarł. – Zabili go?

– Nie. Po prostu nie stawiał się na straż.

– Każą go powiesić! – mruknął cicho Wilamowski. No tak, i jego towarzystwo zaczynało się wykruszać. Ludzie po prostu nie wytrzymywali tego wszystkiego.

– Kiedy jego nigdzie nie ma. Zostawił wszystko na kwaterze.

– Trudno. Rozdzielę to między towarzystwo. Dziękuję waści.

– Panie namiestniku... Kiedy on miał pójść...

– Dokąd?

Tamten milczał przez chwilę. Spuścił wzrok.

– Nie miał jada. Poszedł obłuskać takiego Ormianina w Kitajgorodzie...

– A więc gwałty? No, jeśli się pokaże, pójdzie na stryczek!

– Ale ten Ormianin mieszka w takim dworzyszczu przy Spaskich Wrotach... Dziwny dom. Mówią, że to charakternik. Płanetnik cara Borysa Godunowa. I ma jada. Dużo jada. Tak mówią moskiewscy...

Krzysztof milczał. Nie wiadomo dlaczego poczuł, jak przenika go zimny dreszcz. Miał już tego dosyć! Dosyć!

– Jeśli ubili go na rabunku, tym lepiej dla niego. Ze mną miałby gorszą przeprawę.

– Panie namiestniku. Tam giną ludzie.

– No to co? – Krzysztof wyminął go obojętnie i ruszył dalej. Miał już tego serdecznie dość. Zwłaszcza że szedł w ważnej sprawie. Nie obejrzał się już za siebie.

Gdy Wilamowski przekroczył próg, Samuel podniósł głowę. Był wysokim, przystojnym mężczyzną o jasnych włosach. Od dawna byli przyjaciółmi. To było nawet dziwne. Rudziński, najlepszy jeździec w całej załodze Kremla, lubił tylko konie. Nawet kobietami zajmował się tylko na tyle, na ile było to potrzebne każdemu mężczyźnie.

– Jesteś... Długo się nie widzieliśmy.

– Samuelu – Krzysztof przysiadł na brzegu ławy – dzieją się straszne rzeczy.

Wszystko dziczeje. Jesteśmy w piekle.

– Przecież walczysz z tym piekłem.

– Walczę...

Zapadła cisza.

– Czasami myślę, że powinienem siebie nienawidzić. Nienawidzić za to wszystko, co kiedyś robiłem tutaj, w Moskwie, i za to, że nie potrafię tak żyć jak ty – wyszeptał Rudziński. – Ale cieszę się, że ty jesteś taki, jaki jesteś. Dajesz mi siłę... Wyglądasz, jakbyś miał do mnie coś ważnego. Powiedz to od razu, nie ukrywaj.

Krzysztof przygryzł wargi. Nadeszło najgorsze. Ale musiał to z siebie wydusić, choć wiedział, że sprawi tamtemu ból.

– Przyszedłem... Przyszedłem, bo już jest czas. Musimy to zrobić...

Samuel spuścił głowę, ale Wilamowski i tak zauważył, że jego twarz nagle poszarzała.

– Powinienem cię za to zabić – powiedział. – Powinienem, ale nie mogę. Bo może masz rację. Wierzę, że tak jest. Mój Boże, ja już tracę rozum... Chodźmy. – Podniósł się wolno i oparł dłoń na rękojeści szabli. – No, idziemy.

Krzysztof przez chwilę miał wrażenie, że tamten zaraz dobędzie broni i zabije go.

Lecz Rudziński ruszył ku wyjściu. W milczeniu zstępowali po trzeszczących schodach napęlniających powietrze wonią zbutwiałego drewna. Szybko przeszli przez opustoszałe błotniste podwórze do niewielkiej stajni. Panował tutaj bałagan, siodła i części końskiego oporządzenia leżały porozrzucane na resztkach przegniłej słomy, a w dachu pełnym dziur ponuro świstał wiatr.

– Czeladź gdzieś mi się rozbiegła – mruknął Samuel.

– Pewnie znowu wrócą przed wieczorem. Szkoda, że moskiewscy usiekli mi pocztowych...

Podeszli szybko do tylnej ściany stajni. Samuel naparł ramieniem na odpowiednią deskę i ta ustąpiła, otwierając przejście. Zrobili tę kryjówkę dosyć dawno. Kosztowała sporo wysiłku, ale opłaciło się. Rudziński z trudem przecisnął się przez szparę. Krzysztof poszedł za nim. W mrocznej, długiej przestrzeni stał koń. Niegdyś był piękny – świadczyły o tym smukłe nogi o mocnych pęcinach. Długa, kształtna szyja złączona była z pięknie uformowaną piersią. Chociaż rumak poszerzeniał, a jego sierść liniała, można było poznać, że niegdyś był bułanej maści. Tułów i zad były chude. Tak chude, że koń, kiedyś będący zapewne ozdobą stajni, wyglądał niemal jak szkielet.

Rudziński wysunął broń z pochwy i ruszył w stronę wierzchowca. Rumak poznał go. Zarżał cicho i ufnie przysunął chrapy do ręki, w której Samuel trzymał gotową do uderzenia szablę. Delikatnie skubnął swojego pana w palce, a potem potarł pyskiem ramię. Rudziński zobaczył oczy konia – duże, brązowe, smutne, wpatrzone w niego.

– Mój Złoty, mój Złoty! – wykrzyknął rozdzierająco. – Na co ci przyszło?! Za co?! – Nie mógł już wytrzymać. Objął konia za szyję. – Złoty, Złoty, mój koniku – powtarzał. – Za co? Nosileś mnie wszędzie. Byłeś ze mną pod Kłuszynem. Ocaliłeś mi życie. I teraz...

Krzysztof spojrzał beznamiętnie na przyjaciela. Miał ochotę trzasnąć go w twarz. A może nawet więcej – dobyć szabli i ciąć w łeb. Że też akurat Samuel musiał rozpaczać w takiej chwili.

– Gdyby twój Złoty mógł mówić, kazałby nam zrobić to samo. Przecież jest do ciebie przywiązany.

– Wiem, wybacz mi – Rudziński z trudem oderwał się od szyi konia – ale to mój rumak... Oszczędź mi tego, proszę... To mój ostatni koń... Ostatni i najlepszy. Może on pomoże nam dotrzeć do odsiecz...

– Nie będzie żadnej odsiecz...

– Jak to?!

Krzysztof ujął szablę w obie ręce. W chłodnym, złowieszcym półmroku stajni zamachnął się i ciął. Nie do końca. Na to już nie miał siły. Koń rzucił się nerwowo, a potem runął na ziemię w drgawkach. Z na pół przeciętej szyi trysnęły strumienie czarnej krwi. Krzysztof stanął nad martwym ciałem jak oniemiały, jak gdyby popełnił wielką zbrodnię, zabijając to niewinne, posłuszne zwierzę.

– *Jeszcze się bijesz... Jeszcze się rzucasz...* – usłyszał charkotliwy szept.

Krzysztof zamarł. To nie był głos Rudzińskiego. A przecież byli tu sami. Opuścił wzrok i poczuł, że chyba oszaleje. Okrwawiony, na wpół odcięty od kadłuba koński łeb drgał. Uśmiechał się do niego krwawo. Wilamowski zbladł jak ściana. To nie mogło, to nie powinno się zdarzyć... A jednak miało miejsce.

– *Jeszcze to robisz... Po co? I tak zginiesz. Nie wytrwasz...*

– Chcę odkupić dawne winy – powiedział rwącym się głosem. – Chcę je naprawić.

– *Nie odkupisz. Nie poprawisz się. Zawsze będziesz taki sam.*

– Nie wierzę! Nie może być! – Rzucił się wstecz. –Zgiń, przepadnij!

– Zobaczysz. Jeszcze wspomnisz moje słowa. My zapraszamy do piekła. I złamiemy cię tak, jak się łamie szczapkę drewna...

– Jak?!

Łeb nie odpowiedział. Opadł na słomę i znowu stał się tym, czym był wcześniej. Kawalkiem martwego mięsa. Wilamowski obejrzał się na Rudzińskiego, ale ten wcale nie patrzył na niego. Otarł pot z czoła. Czyżby mu się zdawało? Na wszelki wypadek odsunął się dalej.

Dawno nie mieli takiej uczty. Suche, łukowate płaty koniny smakowały jak najbardziej krucha pieczeń. Nawet nie trzeba było ich przyprawiać. Sam zapach mięsa wystarczał za szafran, pieprz i sól. To było mięso – mięso, które Krzysztof widział po raz ostatni chyba kilka miesięcy temu.

Jadł razem z Sonią. Została z nim od owego pamiętnego wieczoru. Zdziwił się, że gdy przyszedł na kwaterę, czekała na niego. Ale w końcu miał jedzenie. A to znaczyło – życie.

Długo siedzieli w milczeniu przy stole. Kacper już dawno poszedł spać. Krzysztof przyglądał się dziewczce. Tylko patrzył. Potrzebował chyba właśnie widoku kobiety.

– Jesteś inny niż wszyscy – powiedziała.

– A po czym poznajesz?

– Nie wiem. Przygarnąłeś mnie, dzieliś się jedzeniem. Jesteś inny...

– Inny – to znaczy gorszy?

– Wcale nie. – Podniosła głowę i zobaczył jej błękitnozielone, dumne, zuchwałe oczy. – Do wczoraj żyłam jak *jurdiwa*. To po waszemu obłąkana. Nie potrafiłam się z takim życiem pogodzić. A teraz jakby się przebudziłam. To dzięki tobie.

– Może. Ja też rozumiem to wszystko inaczej. Myślałem, że wojna jest inna. Na początku taka była. Ale potem nie była już taka, jak myślałem. Pierwszy raz zabiłem tak naprawdę ponad rok temu. Zabiłem i zgwałciłem. Wybieraliśmy żywność ze wsi. Chłopi stawili opór. Zaczęli strzelać. Potem... Ta niewiasta. Uderzyła mnie. To wystarczyło. Zaciągnąłem ją do komory i zdarłem zapaskę. Opierała się – dałem w łeb. Gwałciłem ją mocno. Oddałem potem towarzystwu... Wiadomo, łupy dla panów husarzy, a pierwsza baba zawsze dla komendanta. Spędziliśmy ocalałych do cerkwi i podpaliliśmy ją. Robiłem zresztą jeszcze gorsze rzeczy... I wtedy zrozumiałem, że nie jestem szlachcicem polskim, nie jestem nawet katolikiem. Coś mnie zmieniło. Ale ja to za mało. Dlaczego jeśli inni to robili, miałbym im na to pozwolić. Nie pozwalam. I myślę, że może odkupię w ten sposób część mojej winy. Właśnie wtedy zrozumiałem, że muszę to wszystko odkupić. I dlatego teraz nie pozwalam jeść trupów, gwałcić i zabijać, jeśli nie jest to potrzebne. Poprzysiągłem sobie, że nigdy nie zabiję kobiety. Czy wiesz, dlaczego mówię ci to wszystko...? Gdy szedłem na wojnę, myślałem, że zostanę bohaterem. Teraz wiem, że jestem niczym...

Sonia milczała przez długą chwilę.

– Wojna jest zawsze taka sama – wyszeptała. – Gdyby ci dzisiejsi bohaterowie: Minin i Pożarski, brali Warszawę, robiliby to samo. Zresztą robią. Nasi Dońcy mordują i gwałcą zupełnie jak wasi Czerkasi...

– Może. Wiesz teraz, dlaczego robię to, co robię. Bo nawet takie gówno jak ja nie chce wpaść w to do końca. Chce odkupić winę! Chce ocalić w sobie i u innych resztki honoru, tę jego część, która jeszcze mu została. I myślę, że ty... i ktoś jeszcze będziecie dla mnie oparciem, żebym nie stracił sił.

Zamarli. Na dworze, po drugiej stronie ulicy, rozległ się nagle trzask pękającego drewna i ochryple okrzyki. Po chwili usłyszeli brzęk szabel, głośne nawoływania i wrzaski, a potem przeciągły skowyt, jaki chyba nigdy nie mógłby wydobyć się z gardła żadnej ludzkiej istoty. Krzysztof poderwał się. Wiedział, że tam, gdzie była ta wrzawa, mieszkał jakiś dworzanin wraz z rodziną.

– Co się tam dzieje? – mruknął i złapał za szablę, ale Sonia wczepiła się weń z całą swoją siłą. Przewrócona świeca zgasła i zostali w ciemności przeszywanej dochodzącymi ze dworu okrzykami.

– Błagam cię, nie chodź tam – wyszeptała tak żarliwie, że zamarł. – Ich jest więcej. Może tu przyjdą. Obroń mnie!

Ich usta spotkały się. Poczuł jej ciało tuż przy swoim. Miała rację. Wcale nie chciał tam chodzić. Nie mógł. Przycisnął ją do siebie. Powoli, jakby zbudzone z uśpienia, pojawiło się w nim pragnienie kobiety. Dotknął przez materiał jej piersi, pleców, pośladków i tego, co było pomiędzy nogami. Zadrżał. Wyczuła to. Przez dekle, żupan i szarawary jej ręka spoczęła na jego męskości. Pieściła ją przez chwilę. Oddech Soni stał się głębszy, wolniejszy... Nie bacząc na nic, Krzysztof rozerwał jej guziki żupanika, niemal siłą zdarł ubranie, odsłaniając duże, białe piersi i kępkę ciemnych włosów na łonie. Stała przed nim naga. Szybko zajęła się jego odzieniem. Pieściła go przy tym wolno. W końcu, gdy pozbył się już żupana, butów, spodni, wszystkiego, co miał na sobie, porwał ją i rzucił na łożo. Krzyknęła, gdy odnalazł jej kobiecość i wbił się w nią członkiem, powoli, ale mocno, aż do dna. Poczuł, że Sonia wyprężyła się pod nim jak kotka. Przytuliła Krzysztofa jakoś tak miękko, delikatnie, że aż zadrżał. Bał się tego, co zaraz miało nastąpić, bał się, że w porównaniu z jej czułością będzie zbyt brutalny. Ale zaczął to robić. Najpierw wolno, potem szybciej. Zaplotła mu dłonie na pośladkach, objęła nogami i naciskała, gdy wchodził w nią coraz mocniej i mocniej...

– Och, głębiej, silniej, bierz mnie! – wykrzyknęła za którymś z nawrotów. Poczuł żar płynący z głębi jej ciała, żar rozpalający jego męskość, przenikający aż do szpiku kości. Miał ją. Miał tę kobietę. Ocierał się o jej ciało, o czubki roztańczonych piersi. Oddawała mu się cała. Cała, z miłości, nie tak jak zwykłe moskiewskie kurwy. Nie mógł już wytrzymać. Wbił się w nią mocno, raz, drugi, trzeci. A potem poczuł, jak rozkosz przenika każde włókno jego ciała. Pocałował ją tak, iż zdawać by się mogło, że zmiążdży jej wargi, i zapadł w czarną, mokrą, miękką, ciepłą nicość. Potrzebował tego. Dała mu coś, co sprawiło, że znowu poczuł się mocny i wytrzymały. Dała mu siłę przetrwania.

Nad ranem poszedł tam, naprzeciwko. Dwór ograbiono w nocy. Czterej służby, zwykle pilnujący domu, leżeli rozsiekani niemal na krwawe strzępy. Okna i drzwi były wybite. A właściciele... Z tymi napastnicy obeszli się najgorzej. Gdy Krzysztof wszedł do świetlicy, zobaczył ich prawie wszystkich. Starą matkę torturowano. Leżała pod ścianą w kałuży krwi. Córka spoczywała przywiązana do łoża, z szeroko rozsuniętymi nogami, martwym, szklistym wzrokiem wpatrując się w sufit. Nie była już taka ładna jak dawniej. Gwałcono ją wielokrotnie. Pomiędzy jej nogami widniała jedna wielka, ściekająca aż na podłogę plama zastygłej krwi. Krzysztof nie mógł na to patrzeć. Białe ciało dziewczyny było jakby napuchłe, zupełnie jak gdyby zaczynało rozkładać się szybciej niż inne trupy. Miał tego dość. Gdyby gdzieś zobaczył lustro, miałby ochotę plunąć sobie w twarz, a może krzyknąć i wycić ze zgrozy. Ty skurwysynu, skurwysynu! – skowyczało coś w głębi jego duszy, o ile takową jeszcze posiadał. Zastanawiał się, gdzie było ciało samego dworzanina, dopóki wychodząc, nie uderzył o zwisającą z pułapu parę bosych nóg.

Wówczas krzyknął i uciekł z tego potwornego domu.

Złoty nie starczył na długo. Już wkrótce znowu nie było co jeść. Nastął październik, a wraz z nim nadciągnęły zimna i deszcze. Zrobiło się jeszcze chłodniej. Głód i zimno, bo w obleganym mieście brakowało opału, wolno, ale nieubłagane zaczęły dobijać załogę Kremla. Żywności już nie było, więc codziennie ktoś umierał. Doszło do tego, że z każdej warty na murach wynoszono kilka trupów. Ludzie umierali, nawet stojąc. Głód zabijał ich wolno, dobierał się do nich podstępnie. W pierwszych tygodniach dawał o sobie znać tylko bólami, osłabieniem i skurczami w żołądku. Potem dochodziły jeszcze zawroty głowy, na końcu zaś pojawiała się straszne, niemal odbierające rozum pragnienie, po nim drgawki i senność. Głód, wielki, przemożny, taki, któremu człowiek nie mógł się już dłużej opierać, w końcu zamykał wszystkim powieki. Niektórzy nie wytrzymywali go – tracili rozum, rzucając się z bronią na swoich najbliższych towarzyszy. Inni modlili się, zawodzili skargi do Boga, który przebywał gdzieś wysoko, nie zwracając uwagi na załogę Kremla. Jeszcze inni po prostu uciekali, co już było bez sensu, bo nie było dokąd. Ale pomimo to każdego dnia Moskwa wieszala na szanłacach, obdarłszy wcześniej ze skóry, coraz to nowych polskich zbiegów.

Z braku zwykłego pożywienia jedzono, co się da. Ludzka głowa kosztowała już dwadzieścia złotych. Noga była droższa – można było dostać ją za czterdzieści, ale ludzinę sprzedawano zawsze taniej niż „normalne” mięso. Szczury dochodziły nawet do pięćdziesięciu złotych, koty do siedemdziesięciu, a konina stała się prawie zupełnie nieosiągalna. Jedzono też inne rzeczy. Strzelano do wróbli i gołębi. Obgryzano łojowe świece i pergaminowe oprawy ksiąg.

Moskiewscy wciąż czekali. Każdego ranka, gdy rota Wilamowskiego obejmowała straż na murach, Krzysztof widział rozłożone na Zamoskworieczu tabory wojsk *opółczenia*. Pożarski i Minin czekali. Nie szturmowali, zresztą nie było ku temu powodów, zdobyc i tak sama wpychała im się w ręce. Jeszcze tylko miesiąc, góra dwa i Moskwa znowu stać się miała moskiewska.

Sonia zmieniła się. W miarę jak śmierć brała ich w swoje szponiaste palce, robiła się inna. Z pozoru było tak jak zawsze, choć nie szli teraz do łoża, bo na to nie było sił. Coś jednak się zmieniło. Głód wychudził ją jeszcze bardziej, uczynił bledszymi policzki, oczy straciły dawny blask, nawet złote włosy zszarzały i zaczęły wypadać. Dziewczyna zrobiła się bardziej nerwowa, niespokojna. Czasami zniknęła gdzieś, aby niespodziewanie pojawić się u jego boku. Wątpił w to, żeby chodziła się kurwić. Może szukała żywności? Chyba nie, bo wciąż czuła głód.

To nie było wszystko. Krzysztof zastanawiał się ciągle nad tym, co widział wtedy, gdy zabił Złotego. Ten obraz, ta scena uparcie wracała do niego. Co to mogło oznaczać? Czy mu się tylko przywidziało? I kim, u diabła, byli ci, o których powiedział mu łeb? Ci, którym zależało na tym piekle, jakie miało miejsce na moskiewskim Kremlu. To nie mogli być Moskiewczycy. Krzysztof miał wrażenie, że w to, co się działo, włączyły się jakieś wielkie i tajemne siły. Nie zależało im nawet na kapitulacji twierdzy. Raczej na okrucieństwie, gwałcie i wynaturzeniach, które miały tu miejsce. Był przeszkodą na ich drodze, ale to jeszcze bardziej pobudzało go do działania. Nie wiedział, co o tym sądzić. Ale jedno było pewne. Nie dam się, myślał. Nic mnie nie złamie, gdy są przy mnie Sonia i Rudziński. *Veto, veto*, to mógł mówić swoim przeciwnikom. To było jego szlacheckie prawo.

Ten dzień, w którym wszystko znowu się zaczęło, był taki sam jak każdy inny –

październikowy, ponury i smutny. Od samego rana wiatr przeganiał po niebie ołowiane, siekące zimnym deszczem chmury. Krzysztof miał rano straż na murach. Siedział w jednej z zimnych kamiennych wież kremlowskiej ściany, wyglądając przez strzelnice na moskiewski obóz.

– Wiesz, co mi się przypomina? – powiedział nagle do niego siedzący obok stołu Rudziński. – Piwo. Takie w dużym kuflu, jasne, z pianą. Najlepiej wareckie. Albo leżajskie. A do tego poleć pieczeni...

– Na Miłość Boską, nie torturuj mnie! – wyszeptał Krzysztof.

– I tak zginiemy. A to mnie ciągle prześladowa.

Drzwi otwarły się z trzaskiem. Do baszty wkroczyło kilku szlachciców o ponurych twarzach. Natychmiast rozdzielili się na dwie grupy, zerkając na siebie nieprzyjaźnie. Niemal czuło się, że byli bardzo rozwścieczeni. Wystarczyła iskra – złe słowo, a rzuciliby się sobie do gardeł. W jednych Krzysztof rozpoznał żołnierzy ze swojej roty, ale drudzy byli zupełnie obcy.

– Czołem, mości namiestniku – powiedział Jan Szczawiński, stojący na czele swoich. Pozostali zawtórowali mu niechętnie.

– Czołem, czołem, waszmościowie – odparł Krzysztof.

– Co się stało?

– Widzisz waszmość, mamy spór – mruknął jakiś nieznajomy człowiek.

– Bo oni chcą zabrać to, co należy się nam! – wykrzyknął ktoś z chorągwi

Wilamowskiego.

– Właśnie! – Szczawiński spojrzał z nienawiścią na obcych. – Bić ich, takich synów!

– Pewnie! Pewnie! – poparli go inni.

– Ciszej tam, waszmościowie! – wrzasnął Rudziński. – Bo nie dojdziemy do ładu.

– Chodzi o to – Szczawiński zwrócił się do Krzysztofa – chodzi o to, żebyś waść nas rozsądził.

– Nie będzie żadnego sądu! – wrzasnął jeden z nieznajomych. – On jest nasz!

– Cicho, spokój – powiedział Wilamowski. – O co chodzi, mości panowie?

– Widzisz waszmość – zaczął Szczawiński – zmarł mój pocztowy, Zieliński. Ci tutaj – wskazał na grupę nieznajomych, trzymających ręce na rękojeściach szabel – to ludzie spod chorągwi imć Lutomirskiego i powiadają, że są krewniakami tego Zielińskiego...

– Pewnie, że krewniakami! – zakrzyknął najstarszy z tamtych. – To był syn mojej siostry. Oni – wskazał swoich towarzyszy – mogą to potwierdzić! Jest nasz!

– Ale ten Zieliński służył w naszej chorągwi, panie namiestniku! To jest ważniejsze niż jakaś tam dziesiąta woda po kisielu! My go powinniśmy zjeść, a nie oni!

Wilamowski poczuł, że blednie. Omal nie zwałił się z nóg. Wsparł się o róg stołu. To, co usłyszał, było straszne. A więc już się stało. Już przychodzili z tym do starszyzny.

– O czym... O co wy się spieracie? – wydyszał. – O co wam chodzi?

– Właśnie, mości namiestniku! – krzyknął Szczawiński. – Gadałem wam! – wrzasnął do tamtych. – My mamy do niego większe prawo. Panie Wilamowski, zostawimy waści najlepsze kąski!

– Stul pysk, suczy synu! – ryknął Krzysztof. – Nie będę rozstrzygał takiego sporu! A i wy, waszmościowie, nie zjecie tego Zielińskiego. Nie pozwalam! *Veto! Veto! Veto!* Wy skurwysyny, myśleliście, że to tak prosto, tak łatwo. Że nic was już nie obowiązuje?!

Cofnęli się, gdy porwał za szablę i szedł na nich, z błyskiem szaleństwa w oczach, sam przeciwko kilku. Spojrzeli w bok, na Samuela Rudzińskiego, ale ten także położył

dłoń na rękojeści zygmuntołki.

– Wynoście się. Nie będę tego rozstrzygał! – wrzasnął Krzysztof z taką mocą, że kilku z tamtych chwycił nerwowo dygot. Cofnęli się do drzwi. – Wynoście się!

Kilku wyszło. Za nimi wolno, z wahaniem postąpiła reszta. Pomiędzy nimi a Krzysztofem była jakby ściana, jakiś mur.

– Wierz mi, waćpan – odezwał się Szczawiński – to nie było mądre ani rozsądne.

Ruszył do drzwi. Krzysztof zauważył, że między szlachcicami z obu grup nagle zniknęła wrogość, stopili się jakby w jedno, połączeni nienawiścią do... namiestnika. Wilamowski drgnął, gdy ktoś położył mu rękę na ramieniu. To był Rudziński. Patrzyli sobie w oczy.

– Masz rację – wyszeptał tamten. – A ja ci w tym dopomogę. Zawsze możesz na mnie liczyć. O Boże, co tu się dzieje! Nie wytrzymamy dłużej. Musimy się poddać!

– Idź przekonywać Strusia, to cię powiesi... – Krzysztof odwrócił się i wyszedł z wieży przez drugie drzwi. Stał na murze i spojrzał w dół. Zimny, wilgotny wiatr wzburzył mu włosy, załopotał połamami delii. Potrzebował tego, potrzebował tej przestrzeni, tej wysokości, tego upadku. Miał wszystkiego dość. Głód rwał go, skręcał wnętrzości. Podchodził do gardła falą bolesnych skurczy.

– Panie Krzysztofie – powiedział ktoś obok. Odwrócił się. Tuż obok niego stał Żeleński.

– Co się stało?

– Niemirycz zniknął.

– Jak to? Nie może to być! Kiedy?

– Chyba wczoraj. Nie przyszedł na wartę!

Wilamowski zamarł. A potem nagle przypomniał sobie to, co usłyszał przed kilkoma dniami właśnie od Niemirycza.

– Czy gdzieś się wybierał? Mówił coś?! Może szedł...szedł do Kitajgorodu zdobyć żywność u jakiegoś Ormianina?

– Skąd waszmość o tym wiesz? On... On miał...

– Wiem, co miał... Niech to wszyscy diabli...

– Panie namiestniku. Ten Ormianin jest bogaty. Słyszałem o tym... Ma jądło...

– Wiem... – mruknął cicho Krzysztof. – Czekaj teraz, waćpan. Ja już coś wymyślę... Co za diabeł siedzi w tym miejscu. Wszyscy tam zginęli. To mi się nie podoba. Zameldowałem o tym... Widocznie nikt nie zwrócił uwagi. No nic. W razie czego sprawdzimy tego człowieka.....